

Krótki kurs filozofii współczesnej

Autor: Jakub Wozinski

W pewne letnie popołudnie wybrałem się do centrum miasta na przechadzkę. Mijając jakiś masywny budynek zauważyłem, że z otwartych na oścież drzwi dochodzą bardzo dziwne odgłosy. Zazwyczaj ruchliwa o tej porze ulica nagle stała się bezludna, a ja, nie mogąc powstrzymać wrodzonej ciekawości, postanowiłem wejść do środka.

Przy bramie wisiała tabliczka obwieszczająca, że budynek należy do jakiegoś Ministerstwa. Niestety wzrok prześlizgnął się po niej pobieżnie i zachodzę dziś w głowę, jak nazywał się ten urząd. Obstaję przy tym, że było to Ministerstwo Przygodności, Ironii i Solidarności, choć pewności nie mam.

Ledwie wszedłem, potraściłem widły Hume'a, oparte o prawą ścianę. Osunęły się na ziemię. Narobiły sporo hałasu i już chciałem pospiesznie się wycofać, gdy zauważyłem, iż głos ożywionej dyskusji wcale nie umilkł. Dla pewności odczekałem parę chwil i zacząłem skradać się w kierunku pomieszczenia, z którego dochodziły. W połowie drogi zauważyłem rozłożoną na stole Umowę Społeczną. Oryginał! Cudo to przyciągnęło mój wzrok i nieszczęśliwie nie zauważyłem leżącej na podłodze deski Karneadesa. Ta huknęła gromko o opartą o nogę stołu maczugę Grubtree'go... Ponownie zamarłem, przeklinając siebie w duchu, że zachowuję się tak niezdarnie. Głosy jednak nie cichły i po dłuższej chwili ruszyłem dalej.

Przy drzwiach powoli nacisnąłem klamkę. Nic jednak za nimi nie ujrzałem! Na framudze rozpostarto zasłonę niewiedzy Rawlsa. Struchlałem, bo o tym, co się za nią dzieje, mogłem przekonać się jedynie odsuwając ją w całości dynamicznym ruchem ręki. Jednak odwagi! Taka okazja więcej się nie powtórzy, pomyślałem, i już po chwili stałem oko w oko z rezydentami pokoju numer dwa.

Jak się później okazało, tego dnia miałem zobaczyć największą liczbę dziwów w moim życiu. Co ciekawe jednak, osobliwości te po rzuceniu na mnie ukradkowego spojrzenia wracały do wykonywanych przez siebie wcześniej zajęć. I w ten właśnie sposób stojący pod oknem Inny, Ty i Pytający powrócili do toczonego między sobą dialogu. Dobry Dzikus, który jako jedyny nie zwrócił na mnie uwagi, szlochał bez ustanku nad swą smutną dolą życia w cywilizacji, a zza drzwi po lewej stronie bez ustanku dochodziły odgłosy walki klas. Muszę przyznać, że cały ten widok wprawił mnie w wielkie zdumienie. Oto przyszło mi osobiście, empirycznie

poniekąd, doświadczyć wielkich osiągnięć myśli człowieka ostatnich stuleci...

Stałem więc oniemiały, nie wiedząc co ze sobą począć i byłoby to trwało nie wiadomo jak długo jeszcze, gdyby w pewnym momencie ktoś nie rzucił we mnie wiedeńskim kołem. Przez chwilę nie miałem kompletnego pojęcia z której strony i od kogo otrzymałem cios. Silniejszy niż myślenie okazał się wreszcie ból siniaka, który powstał po uderzeniu. Ruszyłem przed siebie. Idąc szybko, omal nie wpadłem do jaskini Platona, ale na szczęście w ostatniej chwili złapałem się drabiny Wittgensteina. Chcąc uciec wzrokiem od zionącej pode mną głębinę zacząłem wdrapywać się w górę...

Nie minęła chwila i znalazłem się w trzecim świecie Poppera. Panowała tam nieprzenikniona ciemność i moje oczy musiały się przyzwyczajać do niej przez dłuższą chwilę. Nie mogąc dostrzec, ani nawet namacać niczego wokół siebie, zacząłem spoglądać wyżej. I tam właśnie, po dłuższym wpatrywaniu się, dostrzegłem pierwszą gwiazdę Peirce'a. Wszedłem tu w środku dnia, a już weszły gwiazdy na niebie? Zdumiało mnie to. Być może czas w tajemniczym Ministerstwie płynął inaczej...

Przerażony takim obrotem zdarzeń rzuciłem się z powrotem w kierunku drabiny, choć nie miałem zielonego pojęcia gdzie mogła się teraz znajdować. Zacząłem więc biec przed siebie z głośnym krzykiem chcąc się z tego miejsca jak najszybciej wydostać. Przedemną nie było żadnej ściany, żadnego punktu orientacji... Od ogromnych emocji straciłem zupełnie orientację w czasie i w przestrzeni. Gnałem przed siebie na złamanie karku. W pewnym momencie poczułem jednak, że tracę grunt pod nogami i gdzieś spadam.

Obudziłem się po jakimś czasie (nie mam pojęcia jak długo mogłem tam leżeć nieprzytomny) na podłodze długiego, jasnego korytarza. Podrapałem się po głowie i wyczułem na niej sporego guza. Podniosłem wzrok. Nieco na lewo nade mną na drzwiach widniał napis „Wydział Zapośredniczenia Wiedzy Przez Społeczeństwo”. Wzruszyłem ramionami, gdyż w państwowych urzędach widziało się już wiele dziwnych nazw. Tymczasem jednak na następnych drzwiach przeczytałem: „Wydział Zapośredniczenia Wiedzy Przez Kulturę”. „A to ci dopiero!” – pomyślałem sobie, „ciekawe co będzie dalej”. Jak się później okazało, ten niesłychanie długi korytarz mieścił w sobie prawie 100 różnych wydziałów. Były wśród nich Wydziały Zapośredniczenia Wiedzy przez: Język, Historię, Płeć Biologiczną, Płeć Kulturową, System Znakowy, Naród, Czasoprzestrzeń, Cywilizację, Narrację, Seks, Przynależność Klasową oraz wiele, wiele innych.

Wiedziony wspomnianą już ciekawością zaglądałem na chybił trafił przez drzwi, aby sprawdzić cóż może się tam dziać. W niektórych salach podstarzali profesorowie z zakasnymi rękawami walczyli o naukową autonomię państwowych uczelni. W innych z kolei profesura oddawała się dialogowi. Był on tak bardzo posunięty, że jego uczestnicy chcąc otworzyć się na inność innego niemal zatracali swój fizyczny wymiar. Jeszcze inni utuczeni podatkami scholarzy toczyli narracje. W ramach powszechnego miłosierdzia wyrzekli się pretensji do głoszenia prawdy i w zaciszu swych gabinetów transcendowali zasadę wyłączonego środka.

Najdziwniejszy zaś widok ukazał się po moim wejściu do Wydziału Zapośredniczenia Przez Język. Oto bowiem pewien siwy, zasiedziały tu już profesor napisał na tablicy wzór na nieistnienie świata. Jego brać naukowa zamarła w milczeniu i siedząc w swych fotelach kręciła z niedowierzaniem głowami. Nie znając znaczenia wzoru, zagadnąłem siedzącego przy drzwiach adiunkta, aby wytłumaczył mi w czym rzecz, lecz on z błyskiem w oku przemówił do mnie w metajęzyku. Zdziwiony próbowałem coś zrozumieć, ale niestety wszystko brzmiało dla mnie obco. Wtem z hukiem otworzyły się drzwi i do gabinetu wbiegła Gender-Profesorka z żądaniem, aby przynajmniej połowa napisanego na tablicy wzoru miała charakter kobiecy. Biedny posiwiąły autor równania, nie wiedząc jak wybrnąć z tej sytuacji, zaproponował napisanie wzoru przy użyciu kolorowej kredy. Jednakże gdy tylko uświadomił sobie swoją szowinistyczną myślozbrodnię, natychmiast zredukował się fenomenologicznie.

Niechybną eksplozję emocji Gender-Matrony powstrzymał dźwięk syreny. W tym momencie w rogu pokoju zapaliło się czerwone światło i wszyscy zaczęli wychodzić na korytarz. W okamgnieniu sala opustoszała, a ja wykorzystałem tę chwilę by zapamiętać zapisany na tablicy wzór. Nie szło mi to jednak zbyt dobrze, więc w końcu zrezygnowany poszedłem za innymi. Na korytarzu zauważyłem, że ze wszystkich pomieszczeń nadal wychodzili ludzie, kierując się w tym samym kierunku. Wtopiwszy się w tłum postanowiłem zbadać, co takiego się stało. Wkrótce okazało się, że celem całej pielgrzymki była ogromna aula.

Zajęto miejsca i głos zabrał pewien łysy jegomość. Jego słowa były pełne wzniosłych pojęć i częstokroć znajdowały żywą reakcję publiczności. Tłem do jego wypowiedzi był akompaniament kwartetu smyczkowego, który część starej profesury przyprawił nawet o łzy. Za mównicą zaś rozpostarty był ogromny szyld z napisem „Narodowy Plan Rozwoju Nauki 2050”. Przemówienie to jednak nie zainteresowało mnie wcale. Właściwie to nawet zasnąłem...

Obudziło mnie energiczne wołanie prelegenta: „Czy zechcesz być solidarny?! Czy też wolisz raczej zamknąć się w swym egoizmie?! Kochani, stańmy w prawdzie i powiedzmy wreszcie otwarcie: Dla Narodowego Planu Rozwoju Nauki 2050 nie ma alternatywy”. Jak się zresztą można było spodziewać, sala wypełniła się głośnymi oklaskami. A gdy wreszcie umilkły, moja beztroska natura dała o sobie znać po raz kolejny i wykorzystując chwilę ciszy zadałem nieobliczalne w skutkach pytanie: „Ale czy to ma być z podatków czy z czego? Bo ja ich nie chcę płacić”.

Słowa moje wywołały ogromne poruszenie. Wybuchł zgietk nie do opisanie. Oto bowiem cała sala bez wyjątku zaczęła mi tłumaczyć, każdy po swojemu, dlaczego muszę płacić podatki. Dialogujące zjawy nagle przybrały pochmurne oblicze i zaczęły prowadzić ze mną dialog typu Ja-Ono. Dotychczasowe byty-dla-innego przemieniły się w zajadle gestykulujące byty-same-w-sobie. Wszyscy mówili przez siebie i nikt nie pozwalał drugiemu skończyć. Zupełnie ogłupiały nie wiedziałem, na kogo mam patrzeć. Niektórzy machali na mnie rękami, chcąc okazać wzgardę, inni pokazywali jakieś napisane naprędce na kartce równania, inni zaś jeszcze zaczęli prychać i wzruszać ramionami.

Wykorzystując to zamieszanie, łysy przywódca zgromadzenia zażądał szybkiego głosowania, w którym uczone głowy miały zdecydować czy mam rację czy nie. Okazało się, że wszyscy jednogłośnie zdecydowali, iż się mylę. Po chwili zjawili się przy mnie dwaj strażnicy i pomyślałem, że zaraz wyrzucą mnie z Sali. Jednakże ci zwyczajnie przytrzymali mnie w miejscu, nie pozwalając wyrzec ani słowa więcej, tak że musiałem wysłuchać kilku triumfalnych przemówień, w których wielkie autorytety nauki mówiły o zwycięstwie solidarności i postępu nad faszyzmem i anarchią. Potem dwaj rośli porządkowi wynieśli mnie za bramy Ministerstwa i usłyszałem za sobą szczęk żelaznej klamki.

Nazajutrz siedziałem przed telewizorem przy wieczornych wiadomościach. Z szeroko otwartymi oczami wysłuchałem jasnowłosej prezenterki. Obwieściła, że przyjęto Narodowy Plan Rozwoju Nauki 2050 – a jego tytułowym, popisowym programem, ma być olbrzymi grant na badanie nowo odkrytej jednostki chorobowej, zagrożenia dla demokratycznych społeczeństw. Chodziło o dewiację osobowości w kierunku ultrafaszyzmo-anarchizmu jako wady genetycznej. Wielką nadzieją dla zapobiegania jej pojawianiu się mają być wczesne badania prenatalne.